ZBIGNIEW ZEBAR

in nomine

in nomine

w imię

Copyright © Zbigniew Zebar
Wrocław 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiejkolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłączną zgodą właściciela praw.

ISBN: 978-83-951215-3-1
Zdjęcia na okładce: Zbigniew Zebar

Projekt i wykonanie okładki: Zbigniew Zebar

Skład i redakcja: Liberum Verbum
50-078 Wrocław, ul. Leszczyńskiego 4 lok. 29
http://www.liberumverbum.com.pl
https://liberum-verbum.sklepy.pasejo.pl
wydawnictwo@liberumverbum.com.pl

Zbigniew Zebar

In nomine

W imię

Dorotce

Wszystko należy poświęcić człowiekowi.
Tylko nie innych ludzi.

Stanisław Jerzy Lec

To było dawno temu. Było gorąco. W zacisznym miejscu nawet bardzo.

Było pusto.

Stanęli naprzeciw siebie trochę niespodziewanie. Może przypadkiem. Może jednak nie.

Mężczyzna przyciągnął ją zdecydowanym ruchem ręki. Przywarła do niego. Nieśmiało uniosła swoją rękę. Z taką samą nieśmiałością, delikatnie, wręcz czule, pogładziła jego twarz. Podniecił ją jego zarost – trochę rudy, trochę blond. On pogładził jej włosy, osuwając po nich palce na szyję. Przechyliła głowę, unosząc jednocześnie ramię, więżąc tak jego dłoń. Spojrzeli sobie w oczy. Głęboko.

On patrzył z góry. Był znacznie wyższy od niej, choć ona stała wyciągnięta na palcach. Był starszy. Był dorosły. Ona nie – jeszcze nie zdawała matury. On zdążył o maturze zapomnieć.

Zaczęli teraz oboje jak na komendę, choć bez żadnego wyraźnego znaku, zrzucać z siebie odzienie. On zdzierał z niej bluzkę, stanik; ona rwała guziki, uwalniając go spod ubrania. Czarne, niczym perły, posypały się na biały piasek.

Zostali nadzy.

On zachwycał się jej młodym dziewczęcym ciałem; ona jego dorosłością i wzrosłą oznaką pożądania.

Upadli w kłębowisko ubrań na wydmie, kłębiąc je jeszcze bardziej. Ona czuła się wniebowzięta; on wolał o niebie nie pamiętać.

Zatracili się w namiętności, porwani uniesieniem. Nie istniało nic poza nimi. Z rozkoszą pierwszego razu odkrywał jej wszystkie wdzięki; ona obnażała je przed nim, a on eksplorował je dogłębnie, chciwie.

Zrazu ich ciała poruszały się w rytm leniwego poszumu fal uderzających delikatnie o piaszczystą plażę. Z czasem zaczęły prześcigać go, przyspieszać, zbliżać się do do kresu skali Beauforta, by w końcu eksplodować jak piorun rzucony przez gromowładnego i zastygnąć nagle w bezruchu.

Leżeli w objęciach, zespoleni.

Mieściła się na nim cała. Głowę ułożyła na jego piersiach. Wodziła po nich czule dłonią, odczuwając podniecającą przyjemność, kiedy jej palce prześlizgiwały się wśród ryżawego owłosienia.

Zasnęli.

– Muszę już iść – on odezwał się pierwszy, kiedy się ocknął.

– Jeszcze trochę... – błagała, przywierając do niego całą sobą.

– Naprawdę muszę. Za godzinę mam... No wiesz.

– Tak. Ale spotkamy się jutro znowu?

– Pewnie. Tylko pamiętaj – nikomu ani słowa.

Ostrzegał? Zaklinał? Przestrzegał?

– Tak cię kocham! – zapewniła radośnie, ucieszona perspektywą sekretnego spotkania nazajutrz.

Spotykali się jeszcze przez całe lato – tu, na wydmach. Później było już trudniej, ale kilka razy zdołali jeszcze przeżywać to w innym miejscu. Ukradkiem. Wprawdzie widywali się częściej, ale tak blisko nie mogli już bywać tak często.

W połowie listopada po raz pierwszy ona odmówiła. Delikatnie, taktownie, ale zdecydowanie.

– Co się stało? – zapytał zawiedziony, rozpalony już pożądaniem.

Milczała. Patrzyła mu w oczy i milczała. Przytuliła się tylko i nadal milczała.

– Powiesz mi, o co chodzi?

– Kochasz mnie? – zapytała, miast odpowiedzieć.

Odsunął ją delikatnie, by móc na nią spojrzeć. Głowę miała opuszczoną. Zapytała raz jeszcze:

– Kochasz mnie, prawda?

Właściwie to bardziej zaklinała rzeczywistość, niż pytała.

– Co to w ogóle za pytanie? – zaperzył się.

W głębi ducha nie był już tak pewien odpowiedzi.

Ona, najwyraźniej nadludzkim instynktem, jakby zdała się usłyszeć tę niewypowiedzianą wątpliwość. Posmutniała.

– Będziemy mieli dziecko – zdobyła się jednak na wyznanie.

Zapadła cisza. Długa.

Ona drżała, pozostając znowu w przytuleniu; on spoglądał gdzieś, nie wiadomo gdzie. Myślał. Ona zaczynała odczuwać strach. Wreszcie odezwał się:

– Musisz wyjechać. Nie możesz tu zostać.

– Ale przyjedziesz? Przyjedziesz. Przyjedziesz? Tak? – mówiła głosem, który każdym swym dźwiękiem błagał o potwierdzenie.

Tu stacja Wrocław. Pociąg TLK Inter City z Krakowa do Słupska i Gdyni wjedzie na tor...

Głos z megafonu spowodował wielkie poruszenie na peronie. Tłum naparł na krawędź peronu z całą mocą, nie bez trudu zatrzymując się na białej linii wyznaczającej granicę dozwolonego przybliżenia się do torów.

Pociąg wtoczył się hałaśliwie.

Tłum rzucił się do drzwi wagonów, porywając ze sobą mężczyznę, który zupełnie bezwolnie dał mu się unosić.

Był zupełnie obojętny na obijanie go i nim, na ściskanie do utraty możliwości oddychania. Na wszystko.

Tłum wtłoczył go do wagonu i przygniótł do siedzenia. Opadł na nie i beznamiętnie wlepił wzrok w sufit. Do piersi przyciskał nieduży plecak.

Tumult trwał jeszcze czas jakiś. W końcu, koniec końców, wszyscy jakoś się rozlokowali.

Pociąg ruszył.

Monotonny stukot kół, późna pora i spadek emocji – związanych z wyczerpującą aneksją wagonów – sprawiły, że coraz więcej pasażerów coraz chętniej popadało w objęcia Morfeusza.

Za Poznaniem, w którym dobiła jeszcze kolejna fala chcących dotrzeć do fal Bałtyku, w wagonie mężczyzny panowało ogólne posapywanie, pochrapywanie i przysypianie bezgłośne. Tylko on, on jeden nie spał. Najprawdopodobniej nie miał też większej orientacji co do tego, na jakim etapie podróży się znajduje. Beznamiętny, ale nie bez myśli. Bezmyślny też nie.

Gdyby nie nocna pora, zapewne współpasażerowie bacznie by go obserwowali. Jedni dyskretnie, inni mniej – nachalnie i bezwstydnie wręcz. Ale spali, więc nie

budowało się sensacyjne napięcie domysłów. Bo też było i czego. Tylko czy trzeba było?

Mężczyzna znajdował się w formie wyraźnie dwufazowej. Obie trzymały się z grubsza blisko siebie, ale w niejakim oderwaniu. Jego ciało, obleczone w mocno już zużyte ciuchy, a twarz pokryta wielodniowym zarostem, połyskująca miedzianie, zdawały się lewitować w absolutnej abstrakcji w odniesieniu do umysłu. Ten pochłonięty był zupełnie czym innym i nawet w najmniejszym stopniu nie zwracał uwagi na swoją cielesność.

W którymś momencie, tak między Słupskiem a Gdynią, mężczyzna zniknął. Nie zarejestrowano konkretu. Po prostu – już go nie było w pociągu.

Zwolnione miejsce szybko podsiadł ktoś drzemiący dotąd na walizkach.

Sezon zwykle zaczyna się powoli – od mocniejszego akcentu w weekend majowy. Po mniej więcej tygodniu wezbrana fala turystów opada, ale nie odpływa zupełnie. Utrzymuje się czas jakiś, wzbierając nieznacznie i niezauważalnie. I tak do końca czerwca. Dzień później następuje tsunami – dziesiątki tysięcy wczasowiczów zalewają mieścinę, wypełniając po brzegi pensjonaty, hotele i wszelkiej innej maści kwatery. Fala wlewa się nagle do ogródków kawiarnianych, restauracji i piwiarni, czyli po nowomodnemu – pubów. Przede wszystkim jednak przetacza się przez wąskie uliczki i właściwym sobie zgiełkiem opanowuje puste i spokojne dotąd plaże, zamieniając je w ludzko-kocowo-materacowo-grajdołkowe mrowisko.

Ten żywioł panoszy się niepodzielnie i niepowstrzymanie aż do końca wakacji. Jest to wystarczający czas, by oswoić się z nim, przyzwyczaić do niego, a nawet polubić.

To polubienie jest istotnym momentem w życiu każdego, kto pozostanie tu dłużej, poza ustanowioną ustawowo granicą letniej kanikuły. I nie ma znaczenia, czy będzie to miejscowy, czy turysta. Nagle, pierwszego września, doznaje szoku – wychodzi z domu i stwierdza, że po tsunami nie ma już ani śladu. Ucichł wszechogarniający gwar, rozgardiasz; zniknęły kiczowato pstre budy z jeszcze bardziej kiczowato pstrym towarem; wyludniły się pensjonaty, hotele, campingi, restauracje i wszystko to, co dotąd szczelnie wypełniali turyści.

Spokój.

Cisza.

Zdziwienie. Ogólne. Dopiero teraz można rozpoznać ludzi. Pojedynczych. Zindywidualizowanych. Odanonimowionych.

Ktoś właśnie zbliżał się do centrum. Szedł niespiesznie. Milczący, zgarbiony. Na głównej uliczce nie było prawie nikogo. Czuł jednak na sobie te badawcze, ciekawskie spojrzenia ludzi, którzy dopiero teraz – właściwie bez większych emocji, zdziwienia, rutynowo nawet – odkryli, że jest wśród nich.

Niby jest, ale też i nie.

Nikt nie był w stanie przypomnieć sobie, od kiedy tu jest, i czy zjawił się niesiony turystycznym tsunami, a może nieco wcześniej albo później. Jedno jest pewne ponad wszelką wątpliwość – nie było go tu przed sezonem.

Nie wiadomo też, gdzie się podziewa i co robi poza czasem, kiedy idzie ulicą albo wstępuje do sklepiku spożywczego. Już łatwiej było powiedzieć, czego nie robi.

Zaczęto go widywać także w porcie – ostatnio nawet częściej. Nikt go nie znał; wszyscy wiedzieli, że nie jest stąd.

Mieścina nad wyraz skrupulatnie odnotowała pojawienie się kogoś nowego. Nawet zaakceptowała go w swoim krajobrazie, ale nie tak dalece, by móc powiedzieć, że zasymilowała. Ona go zewidencjonowała w swojej Świadomości zbiorowej jako ciekawostkę, temat do pogaduszek, niezobowiązujących dociekań. Tak oto stał się czymś na kształt atrakcji w tej nowej, ale przecież sennej posezonowej cyklicznej rzeczywistości.

Mieścinna Świadomość odkryła w sobie niezaspokojoną ciekawość, nie okazując przy tym nadmiernej niecierpliwości. Wiedziała, że prędzej czy później zdawkowe, oderwane od siebie fragmenty wiedzy zaczną układać się w całość. Kiedy to już nastąpi, przybysz zostanie przez nią adoptowany. Z tą chwilą przestanie być dla niej interesujący, stając się na nowo kimś nikim.

Może go też odrzucić. To najgorsze, co mogłoby spotkać kogokolwiek z jej strony.

Odrzucenia przy tym nie wolno pomylić z zapomnieniem czy obojętnością. O nie!

Naprzeciw Mieścinnej Świadomości, niejako wręcz w opozycji, stała świadomość Kogoś – na pozór na straconej

pozycji. Ktoś miał jednak nad nią przewagę, z czego ona, i owszem, zdawała sobie sprawę, ale nawet sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać. Nawet w ułamku procenta.

Większość z nielicznych kutrów rybackich, które przetrwały napór bezdusznej biurokracji z Brukseli i obojętnej bezczynności Warszawy, powróciła już z łowisk.

Rybołówstwo stało się teraz bardziej hobby, przyzwyczajeniem, sposobem życia, ale nie źródłem zarobkowania. Kto postawił na to ostatnie – przegrał.

Ktoś siedział właśnie na ławce w porcie rybackim. Sam. Skulony, przyciskając do siebie skrzyżowane na piersi ramiona, z zaciekawieniem przyglądał się krzątaninie na niedużym kutrze DZI-37.

Jakiś mężczyzna sortował na nim plastikowe skrzynki; dokładał po kilka ryb do innych, żeby były pełne, puste wyrzucał na nabrzeże. Robił to niespiesznie, flegmatycznie. Niechętnie.

Zajęty swoją pracą, nie zwracał uwagi na siedzącego Kogoś. Mógł też go po prostu nie widzieć spod kaptura przeciwdeszczowej kurtki. Nie padało, ale chroniła go od przenikliwego wiatru.

Uporawszy się w końcu z sortowaniem, mężczyzna zszedł z kutra, pozostawiając porozrzucane skrzynie na nabrzeżu.

Ktoś wstał i podszedł do niego.

– Może je poustawiać? – zagadnął niepewnie, tak przy tym akcentując zdanie, że bardziej wyczuwało się na końcu wielokropek niż znak zapytania.

Mężczyzna spojrzał na niego zaskoczony, a Ktoś patrzył mu w oczy trochę przygasłym i beznamiętnym wzrokiem.

Jego oczy nie wyrażały niczego, mówiąc przy tym wszystko.

Miał na sobie lichą kurtkę, a na głowie głęboko naciągniętą wełnianą czapkę. Stał skulony, zziębnięty. Patrzył i czekał.

W odpowiedzi usłyszał tylko krótkie: „spadaj", po którym mężczyzna odwrócił się i poszedł w swoją stronę.

Ktoś pozostał sam. Jego wzrok przygasł jeszcze bardziej. Powoli wsunął rękę do kieszeni, w której odnalazł dwuzłotową monetę. To zresztą nie było trudne, bo była ona jedyną rzeczą, jaką w niej miał.

Jeszcze raz spojrzał za odchodzącym niespiesznie mężczyzną, a potem na skrzynie.

Nazajutrz Staryk, jak bez wyjątku wszyscy tutaj go nazywali, pojawił się w porcie jeszcze na długo przed wschodem słońca.

Właściwie to najpierw był to „Stary", z racji tego, że istotnie był najstarszym i do tego aktywnym rybakiem w mieścinie, ale ktoś kiedyś dołożył przypadkiem na końcu „k" i tak już zostało.

Zatrzymał się przed kutrem, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Przychodził zawsze pół godziny przed swoim pomocnikiem i ustawiał skrzynki, a następnie szykował łódź do wyjścia w morze. Od kilku lat, dzisiaj, po raz pierwszy zobaczył dwa słupki starannie ustawionych skrzyń, jeden obok drugiego.

Trochę zdezorientowany, z niedowierzaniem spojrzał na zegarek, jakby uznał, że zaspał, a oczekujący go pomocnik z nudów uporządkował skrzynie.

– Stach, jesteś tam? – rzucił w ciemność, w kierunku sterówki.

Wydłużającą się ciszę przyjął za odpowiedź.